Rozmaitości

Dnia 22. września — Nr 38. — 1838 roku.

NIEBIESKIE

OKULARY.

Przez Jul. A. David.

(Dokończenie.)

Po ostatniéj rozmowie, którąśmy opisali, kilka dni upłynęło; obadwaj oficérowie nie mieli sposobności widzieć się z sobą; aż oto jednego razu kapitan Vernon wyskoczył z kabryjoletu przed domem na ulicy *du Helder*.

»Pan de Bronsac?« zapytał odźwiernego.

»Na drugie piętro; drzwi na prawo.«

Powoli wszedł kapitan na drugie piętro. Zadzwonił; pokojowiec wyszedł.

»Czy mogę się widzieć z panem komendantem?« zapytał. — »Nie wiém pewnie, może jest zatrudniony;« odpowiedział pokojowiec.

»Zatrudniony,« pomyślał kapitan; »zatrudniony, jak minister... Proszę mu powiedzieć, dodał głośno, »że kapitan Vernon chce miéć tę przyjemność odwidzieć go.«

Pokojowiec nie długo bawił i oświadczywszy kapitanowi, że ma wejść, zaprowadził go do pokoju na końcu kurytarza, gdzie ujrzał przed sobą komendanta.

»Czy wiész o tém komendancie, że się dopytać o ciebie nie jest łatwą rzeczą. Czemużeś, będąc u mnie, nie zostawił mi swego adresu?«

»Roztargnienie...« odrzekł komendant mrukliwym głosem, »i jakżeś wćpan przecież do mnie trafił?»

»Zdybałem się wczoraj z pułkownikiem i ten mi powiedział, gdzie mieszkasz.«

»Pułkownik wié mój adres?« zapytał komendant. Pan de Bronsac był oziębły, wymuszony, prawie niespokojny. Zdawało się, jakby nie był rad z odwidzin kapitana.

Kapitan spostrzegł tę obojętność i rzekł: »Komendancie! powiédz otwarcie, może ci przeszkadzam?«

»Bynajmniéj,« odrzekł komendant, starając się nadać swéj odpowiedzi barwę przyjacielskiéj szczérości; »siadaj kapitanie!«

Kapitan, zbliżając się do krzesła, które mu podano, ujrzał w kącie salonu na podłodze białą, niewieścią rękawiczkę, nieco już pomiętą.

»Innym czasem komendancie!« rzekł głosem stanowczym; »na dziś odchodzę. Dziś obecność moja byłaby ci natrętną.«

»I dla czegożto?« zapytał pan de Bronsac, wpatrzywszy się w młodego oficéra badawczym wzrokiem.

»A więc szczérze komendancie, pomiędzy żołniérzami, jak my, wszelkie udawanie byłoby niedorzeczném. Masz wizytę kobiécą?«

Komendant nic nie odpowiedział. Tylko lekka czerwoność wystąpiła mu na czoło. Kapitan Vernon podjął złośliwie zdradziecką rękawiczkę, i ze swawolą dziecięcią trzymał ją komendantowi przed oczyma.

»Cóż na to powiész komendancie?«

Komendant chciał się uśmiechnąć, ale się mu nie powiodło. »Kapitanie,« odpowiedział, »dopiéroco prosiłem cię, abyś został, a teraz wymagam tego. Nie jestem dzieckiem; wiém com winien kobiétom, jeżeli tu już koniecznie o kobiétach mowa być musi, a com winien przyjacielowi, jak wćpan jesteś. Proszę więc zostań i pogadajmy sobie. Wszakże wiész dobrze, że mi jeszcze winien jesteś dokończenie powiastki, która mię bardzo zajmować zaczyna. Jak widzę, jeszcześ nieuwolniony od przyjętego ślubu? jeszcze nosisz te diabelskie okulary. Widziałżeś swą piękną nieznajomę na operze? owę lubą wdówkę?

Powiédz mi to najczulszy kochanku ze wszystkich zakochanych żołniérzy! Mówże wćpan. Bądzom ciekaw słyszéć.«

W tym żartobliwym tonie komendanta było coś wymuszonego i nie najlepiéj ukrywało jego widoczne pomieszanie.

»Opowiém to wćpanu inną razą,« rzekł kapitan Vernon. »Tu milczéć muszę. Tu mógłby nas kto podsłuchać.«

»Zawsze to samo!« zawołał pan de Bronsac, »Mamże zaręczać wćpanu, że tu nié ma nikogo?«

»Czy pewnie?« zapytał kapitan.

»Pewnie!« powtórzył pan de Bronsac, chcąc wymuszonym śmiechem złagodzić wrażenie, które opryskliwy ton mowy jego mógł sprawić. Kapitan Vernon jeszcze się ociągał. Zdawało się nawet, jakby żałował tego, że zrobił komendanta powiernikiem swych poprzedniczych wyznań. »To gadajże wćpan!« rzekł głosem serdecznym pan de Bronsac. »Jeżeliś był szczęśliwym, będziesz nim raz jeszcze, opowiadając mi o szczęściu swojém; jeżeliś nie był szczęśliwym, znajdziesz ulgę, gdy to nieszczęście ze mną podzielisz!«

Kapitan namyślił się i zaczął: »Opuściwszy wćpana, poszedłem na operę, i zająłem miejsce na balkonie, abym jednem spojrzeniem objął całą przestrzeń sali, i wniknął w łóż tajemnice. Przedstawiano właśnie 4ty akt *Ferdynanda Kortez.* Nie wiém czy cudowna muzyka téj opery wszystkich słuchaczy zarówno wzruszyła; ale to wiém pewnie, że ani jednego nie było, którego wzruszenie dałoby się z mojém porównać. Mówię ci szczérze komendancie, nie byłem panem uczuć moich, serce biło mi nieustanie, jak studentowi na widok piérwszéj dziewczyny, którą kocha, albo na wspomnienie całuska, skradzionego ładnéj kuzynce. Byłem szczęśliwy i nie swój; w nadziei i obawie! To pieściłem się lubemi obrazami mojéj fantazyi, to marzyłem o jakiéj tajemnéj intrydze, tom ubolewał nad ofiarą jakiego męża zazdrośnika, i Bóg wié o czém ja nie marzyłem; o jakiejś hiszpańskiéj przygodzie, to znowu przypominałem sobie twoje słowa komendancie; te słowa: urojenie, żarcik, oszukanie, śmieszność, brzęczały mi przeraźliwie w uszach; aż na końcu ujrzałem dwóch oficérów, którzy na mnie ze śmiéchem poglądali, i dopiéro mi na myśl wpadło, że może jestem przedmiotem jakiejś umówionéj igraszki; chciałem wybiédz i na kawałki potłuc okulary.«

Komendant Bronsac słuchał powieści kapitana z miną surową i w powagę ubraną, ale przy ostatnich słowach, zwolniała jego powaga i spojrzawszy ze słośliwą wyższością na młodzika, odezwał się w te słowa:

»Chiałbym był widziéć pana wtedy; musiałeś pociesznie wyglądać.«

»To gorzéj,« dodał kapitan, nie zważając tą razą na słowa komendanta, »żem nadaremnie wzrok mój we wszystkie loże zagłębiał. Nicem nie ujrzał. Dopiéro w końcu czwartego aktu, dotąd zamknięte kratki jednéj loży, odchyliły się cokolwiek; alem jeszcze nic nie widział, prócz małéj, w białéj rękawiczce ręki, która trzymając równiankę róż i fijołków, sparła się na krawędzi loży. Na honor! ta ręka nabawiła mnie niepokoju. W podobnych razach chwytamy się, jak wćpan wiész, ostatniego promyka nadziei; zacząłem więc znowu oddawać się jéj słodkim ponętom. Ale przez cały ostatni akt *Korteza,* nie było w loży ani ruchu, ani szmeru, ani najmniejszéj oznaki życia. Tylko ręka z równianką leżała w tém samém położeniu ciągle widoma i nieporuszona. Skończyło się widowisko; tłum się zwolna rozchodził, a dla mnie jeden tylko jeszcze pozostał środek: stanąłem za drzwiami tajemniczéj loży i czekałem jak dusza w czyscu na zbawienie! Już się był teatr wypróżnił, ledwie jeszcze było słychać czasem drzwi zatrzaśnienie i gwar głosów przebrzmiewający w dali. Aż oto razem zaszeleścił koło mnie strój kobiécy, i w téj saméj chwili poczułem lekkie ściśnienie méj dłoni. Stałem w cieniu kurytarza, i nie mógłem nic widzieć; ale równianka róż i fijołków została mi w ręku.« Kapitan Vernon zamilkł, jakby oczekując ironicznych uwag komendanta. Ale pan de Bronsac był ciągle zamyślony.

»A, to mi się podoba!« rzekł wreszcie, podnosząc głowę, »i wćpan nie szedłeś za ową damą? nie widziałeś jéj powozu?«

»W mojém życiu nie byłem takim głupcem, jak onéj chwili.«

»I od tego czasu jużeś jéj więcéj nie widział? nie otrzymałeś żadnego listu?«

»Nic a nic.«

»Ha, to dziwna!« powtórzył kilka razy komendant. Zdało się, jak gdyby się aktorowie

téj sceny na role pomieniali. Kapitan Vernon milczał spokojnie, jak człowiek, którego wzruszenie się wyczerpało, gdy tymczasem do pomieszania komendanta jakaś nieopisana trwoga się przyłączyła. I przez jakiż nagły i niewiadomy stosunek myśli mogła zajść ta zmiana położeń? Jakim sposobem mogło opowiadanie tak z początku powszedniego romansu, zająć żelazne serce komendanta? Sam kapitan pytał się właśnie o to w milczeniu, nie mogąc jednakże znaleźć sposobu rozwiązania zagadki. Nić rozmowy się wysnuła.

W tém otworzył pokojowiec drzwi salonu i przerwał chwilę milczenia temi słowy: »Pani każe się pytać, czy pan komendant pojedzie z nią na przechadzkę?«

Na to niespodziane intermezzo nastąpiła między obudwoma oficérami bardzo zabawna wymiana spojrzeń; zaczęła się owa gra twarzy, która rozwikłaniu ciekawych scen, jakiś nadzwyczaj zajmujący interes nadaje. Na ustach kapitana drżał złośliwy uśmiéch odwetu; cieszył się, że zyskał chwilową przewagę nad komendantem. Ale był z resztą dosyć przebiegłym, aby nie stracił niewczesną uwagą swego stanowiska; milczenie było tu wymowniejszém i daleko więcéj znaczyło.

»Proś panią, aby zaczekała,« rzekł pan Bronsac do pokojowca.

Kapitan Vernon wciąż milczał i uśmiéchał się. Pan Bronsac zwrócił się ku niemu i patrząc mu śmiało w oczy, jak ów, który stara się ukryć niespokojność swoję, tak się odezwał: »Czy wćpan nie wiedziałeś, żem ja żonaty?«

»Wcale nie,« odpowiedział kapitan. »I zkądżebym miał to wiedzieć; wszakże żaden oficér w pułku o tém nie wie. Ale mości komendancie, czy wiesz, że się w téj mierze z własnemi zasadami nie zgadzasz? Czyliż nie jest ten podwójnie szczęśliwym, który swoje szczęście drugim opowiada?«

»Kiedy głupstwo zrobimy, nie lepiéjże wtedy milczéć?«

»Głupstwo!« zawołał kapitan owym, niby niewinnym tonem, który jeszcze bardziéj ironiję zaostrza; »raczże mi opowiedzić to głupstwo, proszę cię!« Uczeń wziął teraz mistrza na naukę i cieszył się niezmiernie z tego.

»Jestto rzecz najprościéjsza w świecie,« rzekł komendant z dobrodusznością: »Rok temu zdybałem w Wiédniu dziewczynę młodą, dosyć przystojną blondynkę z niebieskiemi oczyma, która mi się podobała. Zacząłem dopytywać się bliżéj i dowiedziałem się, że to jest młoda Angielka, żyjąca skromnie ze swoją matką na przedmieściu. Od nie dawna czepiały się głowy mojéj myśli ożenienia się, spokoju i szczęścia domowego; życie awanturnicze, życie młodości zaczęło się mi przykrzéć, zapragnąłem spoczynku. Ale zaiste! lepiéj byłoby grymasy jakiejś tancerki znosić; bo powiadam ci szczérze kapitanie, mężczyzna, cztérdziesto-letni, który się z młodą dziéwczyną żeni, popełnia wielkie głupstwo, i prędzéj czy poźniéj pewnie go pożałuje.«

»Więcto Angielka?« zapytał Vernon.

»Tak jest, Angielka!« odpowiedział komendant, spojrzawszy na kapitana owym przenikającym wzrokiem, który zda się czytać w duszy przeciwnika. Kapitan się zmieszał.

»Ale wytłumaczże mi mości komendancie,« rzekł młody oficér skwapliwie, aby pod żywością rozmowy ukryć swoje pomieszanie. »Wytłumacz mi przyczynę tego dziwnego tajenia się. Cóż u licha! kiedy się raz ożenimy, trzeba przecież komuś to powiedziéć. Bo nie przedstawiwszy swéj żony wszystkim znajomym, czasem na złe wychodzimy!«

Komendant spojrzał z ukosa na kapitana z udanym uśmiéchem.

»Jak widzę, jesteś zazdrośnym panie komendancie;« rzekł Vernon, wlepiwszy w niego oczy. Pan de Bronsac obruszył się na to jawne obwinienie. Czoło jego zazwyczaj gładkie i pogodne, zmarszczyło się nagle i zachmurzyło; usta chciały się zaśmiać jak zwykle, lecz górna warga przeciągła się z goryczą.

Wtém otwarły się po drugi raz drzwi salonu, i zaczém jeszcze zdołano dostrzedz osobę, która to sam-na-sam dwóch oficérów przerwała, już usłyszano głos kobiécy pełen zniecierpliwienia i niechęci.

»Przeklęcie! mamy ją,« rzekł komendant, ochłonąwszy z chwilowego pomieszania; »przychodzi w samę porę; przedstawię pana żonie mojéj.« Kapitan Vernon uważał pilnie w téj chwili komendanta; widział go spokojnym i uśmiéchającym się, ale nieco pobladłym.

W tym samym czasie stanęła w progu młoda kobiéta, która przytłumionym od gniewu głosem rzekła: »I jakże? czy ja dzisiaj do lasku Bulońskiego nie pojadę?«

Tu dopiéro kapitan zwrócił oczy na wchodzącą, a jego zdumienie doszło do najwyższego stopnia. Młoda kobiéta, którą przed sobą widział, była mała, wysmukła blondynka; włoski, ryżowy kapelusz z piórami otulał jéj twarz śnieżną; aksamitna suknia płynęła w gęstych, odbłyskających przegubach na jéj prześliczną nóżkę; czarny szal kaszemirski obwijał starannie jéj łabędzią szyję, a na ciemném tle jego świeciła alabastrowa rączka w białéj rękawiczce. Kapitan osłupiał na ten widok. Wszakto był ten sam strój, który mu się zdawał tak uroczo-zwodniczym, ta sama powabna, lekko-składna, niewymuszona postać; ten sam oziębły, miło-szyderczy wdzięk, ten sam jasny, miękki, w długich pierścieniach z pod kapelusza spływający włos. To była ta sama kobiéta, którą zdybał na polach Elizejskich, ta sama, którą poźniéj widział w lasku Bulońskim; ujrzawszy ją teraz, zadrzał, jak na dotknięcie pieszczotnéj, znajoméj mu dłoni; poznał stąpanie jéj kroku, ton jéj głosu; to nie było przywidzenie, nie był żaden obłęd; to była ona, ona sama!

A przecież jeszcze wątpił. Świeżość jéj ust, połysk jéj cery, białość jéj zębów, zachwytna lekkość jéj gibkiéj kibici, wszystkoto podziwiał z uniesieniem; jedna tylko rzecz mocno go raziła, jak razi fałszywy ton w słodkim miłodźwięku; owe miłe, lube, tęskno patrzące oczy, były obwarowane dwoma niebieskiemi śkiełkami—żona komendanta nosiła okulary!

Kapitan Vernon wpatrzył się w nią jak w tęczę, a widząc tyle najsłodszych wdzięków na tak gładkiéj, śnieżnéj twarzy, błękitną łuną potwornie osinionych; nie mógł się nie poddać swawolnym myślom, tém bardziéj, że już zaczął spostrzegać na jak zabawny romans to wszystko się zanosi. Młoda mężatka zachowała się milcząco i obojętnie; nie zmieniła bynajmniéj twarzy; poważnie i spokojno odpowiedziała lekkiem skinieniem głowy na ukłon kapitana. Na białém jéj licu nie było widać ani rumieńca, ani pomieszania. Kapitan był jéj obcym zupełnie, tak niespodzianém i niedbałém było jéj obejście się z nim. W téj postawie, spokojna i w długiéj aksamitnéj sukni, zdawała się być starożytnym posągiem, którego tunika w nieruchomych przegubach spada aż ku nogom. Komendant toczył wzrokiem po obu aktorach téj nieméj sceny, chciał coś z ich twarzy wyczytać. Jednakże nie długo trwało to milczenie i ta zdradliwa pantomima.

»Nie pojadę dziś z panią,« rzekł komendant, »już za późno, a muszę się koniecznie widzieć z pułkownikiem. Możesz pani sama jechać, jeżeliby kapitan Vernon nie chciał ci towarzyszyć.« To rzekłszy obrócił się do kapitana: »Cóż wćpan na to?«

»Będzieto dla mnie wielkiém szczęściem spełnić twoje życzenie panie komendancie,« odpowiedział Vernon, starając się, ile możności, nadać swoim słowom wyraz niewymuszony.

»Wolałbym wprawdzie, gdybyście na mnie tu zaczekali. Zapoznasz się kapitanie z moją żoną, a z powrotem doniosę ci może, kiedy pułk nasz do Hiszpanii wyruszy. A więc żegnam cię kapitanie!« To powiedziawszy zaczął już pan de Bronsac odchodzić, ale we drzwiach stanąwszy, dodał jeszcze te słowa: »Wszak pan widzisz, żem nie zazdrośny.«

Pani de Bronsac nie zdradziła się ani półsłowem, ani najmniejszém poruszeniem. Była ciągle jednako spokojną i przyzwoitą; młody oficer uważał ją w milczeniu.

»Pani,« rzekł nareszcie, »czy pozwolisz mi mówić z sobą otwarcie i bez osłony, jak na żołniérza przystoi? Zdaje mi się, żem panią już gdzieś widział; wydajesz mi się znajoma, a przecież nie śmiałbym tego twierdzić. Odkąd tu jestem zbiéram wszystkie spomnienia, wszystkie myśli, a zawsze mi czegoś nie staje. Zdaje mi się, że jestem na weneckim karnawale, gdzie każde słowo wybiegiem, każda twarz złudą. Daruj pani, ale zaledwo się wstrzymać mogę, abym nie rzekł do pani, jak do jakiéj młodéj przebranéj patrycyjanki, którąm już poznał: »Zdéjmże pani z łaski swojéj tę maskę!«

Słowa te wyrzekł w tonie napół z grzecznością, a napół z uszanowaniem, jakiego młody człowiek zwykle używa, bojąc się, aby zbytnią śmiałością nie stał się urażającym, albo zbytnią wstydliwością śmiesznym.

Młoda kobiéta zdawała się słuchać słów tych z tą samą obojętnością, jaką okazywała dotąd; ale ktoby się jéj był lepiéj przypatrzył, byłby spostrzegł, że się kąty jéj ustek do leciuchnego roztwiérały uśmiechu.

»Zaklinam panią na Boga!« prosił kapitan coraz usilniéj, »zdéjmże pani tę maskę.«

»A pan!« odpowiedziała mu na to; »czy swojéj nie zdejmiesz?« W wyrażeniu słów

tych była jakaś kapryśna drwinka, która nie mogła ujść kapitanowi.

»Nie jestżeto zbyt srogim żartem,« mówił dalej, »tak samochcąc się oszpecać? Bo mamże pani prawdę powiedzieć? Widząc panią w tych nieszczęsnych niebieskich okularach, mniemałem widzieć *Madonę* Rafała z przepaska na oczach.«

»Wszakże pan także nosisz niebieskie okulary,« odpowiedziała młodemu oficérowi, »a te same zarzuty, jakie mnie czynisz, możnaby zrobić i panu.«

Kapitan Vernon zaczerwienił się. Zaczął się za ofiarę swawoli kobiécéj uważać i wpadło mu na myśl proroctwo komendanta. Ze smutkiem przypomniał sobie jego słowa: »Zapewne to jakaś ładna wdówka, która chce swe nudy rozerwać i z pana igraszkę sobie robi.« Śmieszna rola, którą przyjął na siebie, zaczęła mu ciężyć. Wstydził się być przedmiotem igraszki dziecinnéj.

»Wyznaję,« rzekł, »wyznaję z wielką pokorą, że zasługuję na pośmiech pani. Dałem ze sobą jak dziecko igrać; myślałem sobie, że kobiéta znakomitego stanu i wychowania, nie znajdzie w tém żadnéj przyjemności, aby wyśmiewać mężczyznę, którego nie zna, i który niczém na jéj zemstę nie zasłużył.«

»Cóż pan przezto rozumiesz?« zapytała się pani de Bronsac, spokojniéj niż sobie tego życzył kapitan.

»Pani, wiém ja, coto jest szczérze wymagać ofiary, i każdą, choćby najboleśniejszą, poniosę. Niechaj mi pisze kobiéta, iż żąda w dowód mojéj miłości zupełnego nawet zrzeczenia się; niech mi powié: w największy dowód miłości, jaki mi dać możesz, znieś naigrawanie swoich przyjaciół, znieś pośmiewisko Paryżanów, którzy w każdéj rzeczy śmieszną stronę upatrzyć umią — powtarzam pani, to wszystko pojmuję. Ale jeżeli ta sama kobiéta obchodzi się ze mną obojętnie, swawolnie, jak z bawidełkiem, wtedy tego utaić nie mogę, że mię boli, że mię to oburza. W takiém obejściu nie widzę ja miłości, i nigdy temu nie uwierzę, aby miłość uważać można za środek do wykonania jakiéj poniżającéj rozrywki?«

Kapitan Vernon mówił to z zapałem, z oczyma w panią Bronsac wpatrzonemi, poczém zamilkł i czekał skutku zapytania, którém zakończył swoję żarliwą apostrofę.

»Jeszcze pana nie rozumiém,« odpowiedziała ona.

»Więc się postaram oto, abyś mię pani zrozumiała!« zawołał kapitan, zrywając ze złości okulary i rzuciwszy zagniewane spojrzenie na młodą kobiétę.

»Ale cóż panu udowodnia,« odparła ona, »że kobiéta, o któréj pan mówiłeś, chciała w saméj rzeczy robić sobie igraszkę z wćpana?«

»Co mi udowodnia?« powtórzył oficér, »to najbardziéj, że i teraz jeszcze żartuje sobie ze mnie; że więcéj godzinę przed nią stoję, a poznać mię nie chce i żadnym znakiem, żadném wejrzeniem wzruszenia serca swego nie objawia. Pamiętaj to sobie pani, iż kobiéta, która nawet odpowiedzialność swych słów i czynności z siebie zrzuca, więcéj jeszcze na przyganę okrucieństwa, aniżeli zalotności zasługuje.«

»A pan myślisz,« rzekła na to pani de Bronsac, »że mężczyzni nie umieją być okrutnymi? A cóż pan powiesz na to, jeźli owa kobiéta, którą pan z taką goryczą oskarzasz, tylko odwetem zemsty odpłaciła? jeźli ona za śmieszność, na którą ją mężczyzna skazał, tę samę śmieszność innemu mężczyznie nałożyła? I cóż wtedy?—Proszę mię posłuchać:

Przed rokiem żyła pewna młoda dziéwczyna z matką swoją szczęśliwie, acz bez majątku i nie prosiła Boga o nic więcéj, jak tylko o przedłużenie tego spokojnego życia. Przypadkiem obaczył ją pewien oficér, jak mówią człowiek zacny i szlachetny; zakochał się w niéj i zaślubił ją. Dziéwczyna była ładną, a przynajmniéj taką się być zdawała; i cóż się dzieje? mąż jéj, nie ufa cnocie swéj żony, nié ma poręki w swoich własnych przymiotach, staje się zazdrosnym, a to nie jak Włoch, co każe żonę otruć lub nosi nieustannie sztylet w zanadrzu; taka zazdrość zabija tylko, ale ani wyszydza, ani poniża. Mężczyzna, o którym ja mówię, był zazdrosny z dowcipem, z uprzejmością, uśmiéchem i żartami na ustach; nie chciał on żony swéj zabić; do czegoż! dla niego zdawała się dostateczną być kara, jaką zadają nieposłusznym dzieciom. Przyszedł więc razu jednego do niéj i rzekł jéj w żartobliwym tonie: »Pani masz piękne oczy, prawie za nadto piękne; aby więc swego uroczego blasku nie straciły, proszę przyjąć te niebieskie okulary!« I mówiąc to, włożył

zdumiałéj małżonce na nos okulary, właśnie takie, jakie pan nosisz, i właśnie takie, jak moje. Z początku żona myślała, że to żarty, ale pan małżonek nalegał bardzo uroczyście; ona się opierała, aż nareszcie przyszło do groźb i użaleń; ona mówiła, że ucieknie, że się zabije, i Bóg wie co; on śmiał się z tego; musiała ustąpić. Nie prawdaż, iż to jest doskonały sposób zobowiązania sobie żony? oszpecić ją, aby pewnym być jéj miłości. A gdyby też ta sama kobiéta postanowiła sobie dla rozrywki i odwetu wyśmiać innego, jak ją wyśmiano? miałżebyś ją pan jeszcze za tak niesprawiedliwą i winną? Jakże się panu zdaje?«

Kapitan Vernon słuchał tego opowiadania z coraz większą uwagą i tém ukontentowaniem, jakiego doznajemy, gdy się niespodzianie z niepewnych i zawiłych uwalniamy okoliczności.

»Widzisz pani sama, żem się bynajmniéj nie omylił,« rzekł nareszcie; »między mną, a ową damą, o nic więcéj nie chodziło, jak tylko o odegranie krotochwili na ośm dni podzielonéj; dla tego, że mąż jéj niegodnie z nią się obszedł, postanowiła tak samo obejść się i ze mną; musiałem ciérpieć karę za uczynek, któregom nie popełnił, a nieroztropnością byłoby spodziéwać się nagrody za poświęcenie się, które sama wielkiém uznała. Smutnyto koniec, nie prawdaż pani?«

Kapitan wyrzekł to głosem tkliwym i chciał już odejść, ale zastanowiwszy się, raz jeszcze rzekł w te słowa: »Mam tylko jednę jeszcze prośbę do pani: jeżeli jéj nie mam już oglądać więcéj, pozwól przynajmniéj, abym cię jeszcze raz taką widział, jaką byłaś w owym dniu, kiedym cię spotkał poraz piérwszy. Pozwoliszże na to?«

Pani Bronsac namyślała się przez chwilę, a wtém kapitan wykrzyknął z podziwienia i radości. Młoda dama stała przed nim bez okularów, wlepiając w niego swe piękne oczy z niewymowną czułością. Maska spadła; oboje poznali się.

Kapitan przez jakiś czas osłupiały patrzył w milczeniu na tę twarz zachwycającą, promieniejącą się w całym blasku, jak owa gwiazda, która niespodzianie z obłoku wypłynie. Byłto ten sam wzrok tkliwy i łagodny, który tyle na sercu jego uczynił wrażenia!

»O pani! powiedz przynajmniéj, że to już nie igraszka, nie udanie; powiedz, że sobie czasem wspomniesz o mnie, a w spomnieniu tém nie będzie już szydności. Bo i cóżem wreszcie tém zawinił, żem ze ślepéj miłości uległ woli twojéj?«

»*I love you!*« rzekła młoda kobiéta głosem poważnym, kładąc rękę na sercu.

W téj chwili wszedł ktoś trzeci do salonu. Byłto komendant de Bronsac. Kapitan i młoda dama pozostali spokojnie jak przódy, nie blednąc, nie odwracając oczu od siebie; byli przygotowani na wszystko.

»Kapitanie!« rzekł komendant, »za tydzień wyruszymy do Hiszpanii, i muszę z wćpanem pomówić.« To mówiąc podał swojéj żonie rękę, aby ją wyprowadzić, a gdy wyszła mówił daléj:

»Kapitanie, nie dokończyłeś mi jeszcze swojéj powieści; ale sam już zgaduję jéj rozdział ostatni.«

Wnet kapitan pojął, że wszelkie udawanie na nieby się tu nie przydało; wyrzekł więc tylko półgłosem: »Jakto wćpan myślisz?«

»Ujrzałeś pan swoję nieznajomą,« rzekł komendant, uśmiechając się po swojemu; »zaszło między wami oświadczenie!« Tu zamilkł; ale gdy kapitan nic na to nie odpowiadał, dodał obojętnie: »Kapitanie! jeden z nas nie obaczy Hiszpanii.«

»To pewnie nie ja;« rzekł kapitan.

»Jakto, wćpan się wymawiasz?«

»Co to, to nie; ale po naszym powrocie z Hiszpanii. Jeżeli mam umrzéć, niechże przynajmniéj przed moją śmiercią zadość powinności zrobię. Pójdę do Hiszpanii.«

»Chcesz więc, abym cię miał za tchórza?«

»Sam wiész o tém dobrze, że to nie prawda.«

»Uznam cię za niegodnego, jeżli się ze mną bić nie będziesz natychmiast; rozumiész mię pan?«

»Ha! kiedy tak, niechże i tak będzie; ale pozwól mi przódy napisać kilka liter do moich przyjaciół; nic więcéj, jak tylko: Kapitan Vernon donosi swoim przyjaciołom, że komendant de Bronsac każe żonie swéj nosić niebieskie okulary, dla tego, że ma piękne oczy.«

Twarz komendanta skrzywiła się widocznie. »A więc dobrze!« rzekł, »niech będzie i po powrocie z Hiszpanii; mam twoje słowo kapitanie. Abyś widział twoję nieznajomą, nié ma innego sposobu jak ten tylko — zrobić ją wdową.«

Po powrocie armii z Hiszpanii nie było więcéj mowy o pojedynku miedzy komendantem de Bronsac a kapitanem de Vernon. Czy komendant pojął, że w niektórych wypadkach i kula nic nie dowodzi?... Podobnoś.

W imieniu pani de Bronsac, urodzonéj Lucyi Inchbald, zaniesiesiono w trybunale piérwszéj instancyi skargę rozwodową. Między głównemi zarzutami skargi, był jeden z najważniejszych:

»Że pan de Bronsac zmuszał swoję żonę do noszenia niebieskich okularów.«

KUCHNIA STAROPOLRKA.

(Dokończenie.)

Z potraw rybnych pierwsze miejsce trzymał łosoś żółto po królewsku; między doprawami przy nim głównie paradowały: ocet, wino, szafran, pieprz, cynamon. Ryby szaro w maćkowej jusze: po odwarzeniu, dzwonka wprawiano w gęszcz z octem winnym oliwą, oliwkami, limoniją, rozynkami małemi, pieprzem;

imbierem, cukrem, cynamonem, a nakoniec dosypano grzanek w kostkę. Szczupak po węgiersku prawie tymże sposobem się gotował, tylko że go obsypywano grzankami, krajanemi w kostkę. Niepospolitemi potrawami rybnemi, które weszły w modę za Sobieskiego, nazywa Czerniecki cztéry. 1) Potaż rybny, to jest ryba nadziana siekaniną z wątrobek, smażona z mąką w oliwie, a dana ze sosem z grzybowego soku i z grzankami. 2) Karp z spirakiem i makaronem włoskim był doprawiany winem, cukrem, pieprzem i cynamonem. 3) Karp bez kości, to jest sama skóra karpia, wytkana faszem, smażona, a potém wprawiona w ocet z limoniją, cukrem, cynamonem, pieprzem. 4) Karp z juszycą, to jest czarno gotowany z krwią rybią w winie z cukrem, pieprzem i różnemi korzeniami.

Jako jadło pod rosoły i polewki, jako okładka potraw ze saporem i nareszcie jako potrawa oddzielna, sławne były już spomniane figatele. Znane one są i dzisiaj u kucharzy pod imieniem pulpetów czy buletów, bo trudno wyrozumiéć wprawdzie nazwisko, a są to te kulki z tłuszczu, chleba i jaj, które dotychczas pod rosołami rumianemi na imieninach, odpustach i tym podobnych ucztach, często spotykać się dają. Mogą one być mięsne i postne.

Do potraw mącznych należały głównie grzybek, naleśniki i bianka, czyli teraźniejszy melszpais z mąki tatarczanéj. Pasztety słynęły francuzkie, niemieckie i angielskie, galarety i blamasy były równie używane jak teraz; ciasto miano francuzkie, angielskie, włoskie, rakuskie i bielskie. Wielkiéj powagi między łakotkami był arkas; nasz sekretarz J. K. Mości i kuchmistrz pana Lubomirskiego taki daje na niego sposób: »Mléka weźmij słodkiego ile chcesz, wstaw w pięknem naczyniu, włóż cukru, a gdy zwierać będzie, wyciśniej cytrynę, albo winnego octu łyżką wlej, a gdy się zewrze, lej w koszyki na to zgotowane, żeby materyja grubsza zostawała, a subtelna wyciekła, a polawszy talerze wódką różanną, wyłóż z koszyczka na talérz, a pocukrowawszy daj; możesz też szafranu do mleka przydać, jeżeli chcesz. Dowcipem było kucharskim, dać na stół kapłona całkowito w butli śklannéj, a robiono to tym sposobem; skórę kapłonią wpuszczono w butel i przez jedyny otwór przy kolanie napełniono ją żółtkami, rozbitemi w mleku; otwór skóry zawięzywano, butel stawiano we war dla ugotowania i stwardnienia. Drugi dowcip czyli sekret była ryba całkowita w jednéj części gotowana, w drugiéj smażona, a w trzeciéj pieczona; robiono to na rożnie, ogón obwiązywano serwetą i polewano octem, środek ryby smarowano masłem i posypywano mąką, a głowę tylko smarowano.

Królowie i wielcy panowie chowali kuchmistrzów, którytо urząd zamienił się tylko w godność honorową; do kuchmistrza należało bankiety urządzać, a trzymał się każdy zasady: że lepiéj mieć za talar szkody, niż za półgrosza wstydu. Na obiad proszono do pięćdziesiąt osób, dawano po dwanaście potraw i na każde dwanaście osób oddzielny półmisek; na obiad większéj liczby jak 50 osób dawano 25 potraw. Ponieważ jedzenie długą miałoby kolej, przeto niektóre potrawy podawano razem, a w 18. wieku dzielono obiady na zastawienia, to jest: zastawiano po pięć lub sześć potraw na stołach, które miały pod nogami kółka, i te stoły przed jedzących suwano, ztąd poźniejsi pisarze kuchenni, którzy się tylko na tłumaczeniach, a zatém obcych potrawach ograniczali, zawsze obiady dzielą na zastawienia.

Za Stanisława Augusta, który zwykł trzymać kucharza francuzkiego, a niezmiernie lubił baranią pieczeń, kuchnia oddaliła się od cech narodowych; weszło wiele nowych potraw, a między innemi, jak pisze Vautrain, zaczęto sędacza gotować na inny sposób, a choć za tego króla we wszystkiém było więcéj powierzchowności jak istoty, to jednak kuchnia uczyniła postęp rzeczywisty; może się do tego przyłożyły sławne czwartkowe obiady, ale czy za wpływem uczonych, czy bez nich, dosyć, że wyrugowano ze stołów szafran, a znacznie osłabiono wpływ octu, pieprzu, cynamonu, limonii, goździków, imbieru i gałki. Cześć i chwała za to przynajmniéj Stanisławowi Augustowi! *J. M.*

— Ze Lwowa. —

Wiadomości literackie. Wydawanych nakładem Franciszka Pillera i spółki: *Pism Seweryna Goszczyńskiego*, wyszły właśnie dwa pierwsze tomy; trzeci i ostatni wkrótce nastąpi. Tom pierwszy oprócz drobnych, po większéj części dotąd niedrukowanych *poezyj*, zawiera znany, przez najlepszych krytyków tak polskich jakoteż obcych oceniony, i na pierwsze europejskie języki przełożony poemat: *Zamek Kaniowski*, poprzedzony: »Krótką wiadomością o rzezi humańskiéj,« któréj w dawniejszéj warszawskiéj edycyi nie było. Tom drugi obejmuje pierwszą część przełożonych prozą z angielskiego *Poezyj Ossyjana*, których część druga tom trzeci zapełni. Pierwszy raz w języku polskim całego otrzymujemy Ossyjana. — E. T. Massalski, autor powszechnie cenionego, mistrzowskiem piórem skreślonego administracyjnego romansu *Pan Podstolic*, przygotował do druku dzieło: *Obyczaje Pińczuków i Białorusinów*, i w Wilnie wydać zamyśla. — Dowiadujemy się, że autorem dzieła we dwóch tomach, wydanego przed rokiem w Petersburgu: *Amerykanka w Polszcze*, jest mieszkający w Mińsku pan A. Tyszyński. Dzieło to, mieszczące w lekkiéj formie romansu nader trafne tak o języku, jakoteż o poezyi polskiéj zdania, znalazło w jednym z najlepszych tegoczesnych krytyków polskich, p. Michale Grabowskim, sprawiedliwego sędziego, który mu jednak tak prawdziwie zasłużonych pochwał nie odmawia. »Zaletą dzieła pańskiego (pisze M. Gr. do autora *Amerykanki* w N. 56. Tygod. Petersb. z r. b.) jest w oczach moich, że objąłeś myślą i przedstawiasz nam ogólny obraz naszéj tegoczesnéj poezyi; powziąłem z tego przekonanie, że patrzysz na narodową literaturę z wysoka, śmiało i po swojemu; takiego pisarza najbardziéj teraz potrzebujemy i w takiém jak wyraziłem świetle zapatruję się na posłannictwo pańskie w naszéj literaturze.« *S. J.*

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł N. 46. i obejmuje przedmioty następujące: 1) Doświadczenia tyczące się nasienia. 2) Prawdy rolnictwa. 3) Jak przezimować rzepak. 4) O nakrywaniu brzoskwiń i moreli przeciw mrozom. 5) Drzewa zachować od mrozu. 6) Szparagi w zimie z własnego doświadczenia. 7) Las jednoroczny trzcinowy. 8) Opisanie właściwego sposobu warzenia piwa z niesłodzonego jęczmienia. 9) O nowym przywileju, tyczącym się fabrykacyi cukru w Żurawnikach. 10) Wykaz zabitéj zwierzyny w Czechach w r. 1837 ogłoszony Gazetą Praską.

Pamiętniki króla szwedzkiego. Król Szwedzki, jak dziennik *Telegraf* donosi, ukończył nie dawno swe Pamiętniki, które już od lat kilku w godzinach wolnych od rządów, hrabiemu Löwenhaupt dyktował. — Podobnież jenerał La-Harpe, zostawił po sobie pamiętniki, ale nieukończone.

Lamartine. Zdanie, które we Francyi wydano o »*La chute d'un ange* (Upadku anioła),« najnowszéj poezyi Lamartina, były i są jeszcze dotychczas tak rozmaite, iż trudno rozstrzygnąć zagranicą, azali poeta ten swoję sławę w ojczyźnie pomnożył lub umniejszył. Podczas gdy jedni z surowością ganią zupełnie zaniedbaną zewnętrzną formę, mnóstwo złych wierszy i niektore bezzasadne nowości w języku, drudzy podziwiają śmiałą

fantazyję, idącą na wyścigi z lordem Byronem i Tomaszem Moore, którzy jak wiadomo obrabiali przedmiot podobny, i bogactwo charakterystyki, któremi mianowicie dwie postacie nowej epopei *Daidha* i *Cedar* są wyposażone. Jednakże najlepszym dowodem wartości tego dzieła jest, iż w krótkim przeciągu czasu czterokrotnie wydanem zostało.

Obrazy z dyjamentów. Pewien jubiler w Medyjolanie dla uświetnienia wieczorów iluminacyjnych, zrobił dwa obrazy, mające niemal trzy stopy wysokości, i złożone z licznych klejnotów, które najmniej półtora miliona franków kosztują. Pierwszy obraz przedstawia orła cesarskiego, tudzież herb lombardzko-weneckiego królestwa; nad orłem wznosi się korona austryjacka, tudzież napisy i cyfry Ich Ces. Mości z samych brylantów. Drugi obraz przedstawia spaniały dyjadem z brylantów w kształcie liścia, opasany wawrzynami z smaragdów. Pomiędzy temi znajduje się naszyjnik z najczyściejszych pereł 150.000 frank. wartujący.

Ostrożność przy kolejach żelaznych. Dyrektorowie kolei żelaznej *Great-Western* wynaleźli sposób zaradzający przypadkom, które bądź z niespodzianego zbliżania się, bądź z nazbyt pospiesznego odjazdu wagonów na kolei się wydarzają. Sposób ten jest bardzo prosty i odpowiada zupełnie swojemu zamiarowi. W Paddington od miejsca, z którego wyjeżdżają wagony, przez całą linję Meindenhead zakładają robotnicy rury, ciągnące się wzdłuż zewnętrznych ścian kolei żelaznych. Przez te rury przeciągniony jest gruby drut, do którego są dzwonki przymocowane, i który na każdéj stacyi z rury wystaje. Skoro szereg powozów z któréj stacyi wyruszy, lub się do niéj przybliża, stróż kolei pociągnąwszy drut, dzwoni, i tym sposobem oznajmia najbliższemu stróżowi, że odchodzą albo zbliżają się powozy, przezco tenże otrzymuje potrzebny znak do uprzątnienia kolei. Sposób ten zyskał powszechną pochwałę, i ma być zaprowadzonym na wszystkich kolejach angielskich.

Muzyka parowa. W gazetach donoszą, iż para, która na kolejach żelaznych ciągnie wozy i ludzi, w równym czasie za narzędzie muzyki służy. Na kolei żelaznéj pomiędzy Newcastle a Carlisle uczyniono pierwszą próbę zabawiania muzyką podróżnych podczas jazdy. Narzędzie muzyczne, połączone z machiną parową, przegrywało rozmaite śpiewki. Jest ono wynalezione przez kaznodzieję, nazwiskiem Birket, w Ovinghamie, na podobieństwo organów i złożone jest z ośmiu piszczałek, stanowiących całą oktawę, któréj jednak na średnich i półtonach jeszcze dotychczas zbywa. Pierwsza próba zyskała wielką pochwałę, chociaż wynalazca sam przyznaje, że narzędzie to potrzebuje jeszcze wielkiego ulepszenia, które jednakże łatwo się da uskutecznić. Ton tych organów parowych, który zagłuszyć ma szum i łoskot machiny, będzie zapewne przeraźliwym, przezco szereg pomykających powozów będzie podobnym do ulatującego śród odgłosu trąb, kotłów i puzanów bachusowego orszaku, i uderzające sprawi wrażenie.

Rzadka śmiałość. Półkownik Macceroni, były adjutant Joachima Murata, w opisaniu przygód swojego życia, spomina między innemi także o nazbyt śmiałym czynie podczas swego pobytu w Rzymie: »W około kościoła Sgo Piotra w Rzymie znajduje się na dachu gzyms szeroki. Rochow i ja, chcąc sobie sprawić zabawkę i nastraszyć naszych towarzyszów Laudou i Dutertre, wleźliśmy na dach przez otwory, którędy słupy z gzymsem się łączą. Dostawszy się na szczyt latarni, na któréj umieszczona jest gałka, a na niéj krzyż wysoki, wyleźliśmy po małéj żelaznéj po nad kulą ustawionéj drabinie i stanęlismy na ostatnim jéj szczeblu. Na téj latarni umieścili Francuzi konduktora, który niemal dziesięć stóp wyżéj nad krzyż się wznosząc, mocnemi śrubami do niego był przymocowany. Za pomocą tego prawie dwa całe grubego konduktora dostaliśmy się na szczyt krzyża, poczém ja wylazłem jeszcze po konduktorze do góry, tak, iż głowa moja po nad złotym szczytem prawie o cały łokieć wystawała. Ponieważ w téj chwili dął wiatr dość mocny, chwianie się moje na konduktorze sprawiało niezawodnie okropny widok, podczas gdy Hulmantle, Laudou i Rochow na ramionach krzyża podemną stali. Wszyscy cztéry postanowiliśmy zostawić na tém miejscu pamiątkę, w skutek któréj na szczycie konduktora przymocowaliśmy mosiężnym drótem małą ołowianą płytę, na któréj wyryte były nasze imiona, tudzież wstążkę długości sześciu łokci. Na ten widok tak nadzwyczajny zgromadziło się na wielkim placu kościoła mnóstwo widzów, a nadzorca kościelny uroił sobie w głowie, iż w tem zachodzi jakaś zdrada. Długą wstęgę miemał być znakiem dla nieprzyjacielskich okrętów, o których sądził, że stoją nad wybrzeżem. Posłał więc natychmiast do policyi, i gdyśmy zleźli na dół, zastaliśmy kilku żołnierzy, stojących u drzwi kościoła z bagnetami. Nie mało mieliśmy pracy, by przekonać tych ludzi, żeśmy tylko naszéj odwagi doświadczyć chcieli.«

Hortenzyja. Największa roślina hortenzyja, jaką tylko podług zeznania znawców rzeczy kiedy widziano, znajduje się obecnie w ogrodzie niejakiego pana Paira w Ille, w departamencie wschodnich Pirynejów. Łodyga jéj ma sześć stóp wysokości i stosowną grubość, a objętość całego krzewu wynosi dwadzieścia dziewięć stóp i pięć cali. Dnia 12. lipca miała ta roślina tysiąc trzydzieści i dwa bukietów najspanialéj rozkwitłych. W tym samym ogrodzie kwitną także trzy inne, wprawdzie nieco mniejsze, jednak zawsze kolosalne rośliny tego rodzaju, których żaden podróżny odwidzieć nie zaniedbuje.

Nagroda królewska. Pewien oficer, który wspiérał matkę i siostrę, a nie miał dostatecznego utrzymania, rzucił się do autorstwa. Pisał on o rozmaitych przedmiotach w stylu humorostycznym i nie zapomniał oraz o moralnéj dążności. Król, czytając utwory jego w pismach peryjodycznych, znalazł w nich upodobanie. Pewnego razu, będąc na popisach wojskowych, przystąpił do tegoż oficera i rzekł: »Wćpan zajmujesz się autorstwem i umieszczasz bardzo piękne rzeczy w pismach publicznych, ale dotychczas nie napisałeś jeszcze wielkiego, ważnego dzieła, któreby cały tom stanowiło.« — Oficer, skłoniwszy się z uszanowaniem, odrzekł: »Jeżeli W. K. Mość będziesz łaskaw i pozwolisz mi przypisać sobie moję pracę, przyłożę wszelkich starań do napisania dzieła, które będzie godnem W. K. Mości.« Król udzielił mu potrzebnego w téj mierze pozwolenia, i nim sześć miesięcy ubiegło, utalentowany oficer przysłał mu pięknie oprawny tom swojéj pracy, która przeszła wszelkie oczekiwanie. Król ze swojéj strony kazał także pięknie oprawić książkę, ale zamiast kartek autorskiéj treści, umieścił w niéj 1.000 złr. banknotami. Oficer, otrzymawszy tak odznaczające się dzieło, z największą radością nie zaniedbał złożyć swego uszanowania, i napisał tom drugi, który również wręczył królowi. Podczas powtórnego przeglądu wojska, król zobaczywszy oficera, zapytał: »No, jakże moje dziełko wćpanu się podobało?« — »Ach, Najj. Panie,« odrzekł tenże, »dzieło to jest doskonałém, przewyższa ono wszelkie inne; jednakże, podług mego zdania, życzyłbym, aby miało — ciąg dalszy.« Król uśmiéchnął się na to, i w przeciągu czterech tygodni przysłał mu znowu pięknie oprawny tomik, a w nim 1500 złr., ale u spodu na oprawce był napis: »Tom drugi i ostatni.«

Redaktor Jan Nep Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*